



Święty alkoholik

Historia sługi Bożego Mateusza Talbota

MIRA MAJDAN

B była niedziela Trójcy Przenajświętszej, 7 czerwca 1925 roku. Na ulicy Granby Lane, prowadzącej do kościoła dominikanów w Dublinie, osunął się na ziemię starszy mężczyzna. Choć wyglądająca przez okno drugiego piętra kobieta natychmiast wszczyła alarm, sprowadzony naprędce z kościoła lekarz mógł jedynie stwierdzić zgon. Ciało przewieziono do szpitala, gdzie pracująca tam siostra zakonna oraz dwóch sanitariuszy, Karol Manners i Wawrzyniec Thornton, zajęli się przygotowaniem go do chrześcijańskiego pogrzebu. Patrząc na skromnie ubranego człowieka o stwardniałych dłoniach robotnika, nie przypuszczali, że ich nazwiska przejdą do historii.

■ SKROMNOŚĆ I SŁAWA

Zmarły nie miał przy sobie żadnych dokumentów czy notatek, które mogłyby pomóc w ustaleniu jego tożsamości; nie miał też pieniędzy. Jednak po rozebraniu ciała oczom sanitariuszy ukazał się widok niecodzienny – wokół pasa mężczyzny owinięte były dwa wrzynające się w ciało łańcuchy i węzłowaty sznur; podobne łańcuchy i sznury znajdowały się również na rękach i nogach. Dwaj mężczyźni sporządzili dokładny opis tych „narzędzi pokutnych”, potwierdzając notatkę własnoręcznymi podpisami.

Ciało zostało wkrótce zidentyfikowane przez siostrę zmarłego, która zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością, zaczęła go szukać przez policję. Był to Mateusz Talbot, niespełna siedemdziesięcioletni robotnik, zatrudniony w składzie drewna jako magazynier.

W kondukcje odprowadzającym zmarłego do ubożego grobu oprócz najbliższej rodziny, delegacji z miejsca pracy i garstki znajomych niespodziewanie znalazł się Rafał O’Callaghan, zamożny handlarz winami, który – jak się okazało – przypadkowo zobaczył nekrolog w gazecie. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, aby o pogrzebie prostego robotnika informować przedstawiciela dublińskiej elity. Tymczasem znali się oni doskonale, bywali u siebie w domach, prowadzili głębokie rozmowy duchowe, a O’Callaghan wypożyczał Mateuszowi lektury duchowe ze swojej dobrze zaopatrzonej biblioteki.

Rafał O’Callaghan powrócił wkrótce do pokoiku Mateusza wraz ze znajo-

mych dziennikarzem, Józefem Glynnem. Wspólnie przejrzeni skromny dobytek zmarłego – jego notatki, książki, święte obrazki, a także łóżko, gdzie po podniesieniu przykrycia pokazały się gołe deski i drewniany klocek służący za poduszkę. Obaj nie mieli wątpliwości, że dotycząją niezwyklej historii, która zasługuje na opisanie. Józef Glynn przystąpił do zbierania materiałów i niespełna rok po śmierci Mateusza ukazała się drukiem jego pierwsza biografia, która natychmiast stała się bestsellerem. Pierwszy nakład – dziesięć tysięcy egzemplarzy – rozszedł się w cztery dni.

Widząc spontanicznie rozprzestrzeniający się kult Mateusza Talbota, arcybiskup Dublina w 1931 roku rozpoczął proces beatyfikacyjny na szczeblu diecezjalnym. W 1947 roku przekazano akta do Rzymu, a w 1985 roku Mateusz otrzymał oficjalnie tytuł sługi Bożego, co oznacza, że z ludzkiego punktu widzenia jego świętość nie ulega wątpliwości. Jeżeli Bóg zechce w sposób nadprzyrodzony potwierdzić ten werdykt cudem, ubogi, zmagający się z alkoholizmem irlandzki robotnik zostanie ogłoszony błogosławionym.

■ POCZĄTKI NAŁOGU

Dzieciństwo Mateusza nie było sielskie. Urodzony 2 maja 1856 roku w Dublinie, w Irlandii, wychowywał się w ubogiej rodzinie Elżbiety i Karola Talbotów, wśród licznego rodzeństwa – siedmiu braci i czterech sióstr – z których większość nie dożyła dojrzałego wieku. Ojciec miał stałą pracę w porcie, matka dorabiała sprzątaniami. Wystarczyłoby

to na skromne utrzymanie, gdyby nie to, że ojciec przepijał większość zarobków. Rodzina zmuszona była jedenaście razy wyprowadzać się z kolejnych wynajmowanych mieszkań, gdyż brakowało pieniędzy na czynsz. Wszyscy synowie – z wyjątkiem, najstarszego, Jana, który nie tykał alkoholu – poszli w ślady ojca.

Mateusz w wieku dziesięciu lat został posłany do bezpłatnej szkoły prowadzonej przez Braci Chrześcijańskich, w której uczono go podstaw czytania i pisania. On jednak – wychowany w świecie, gdzie mężczyźni zarabiali na życie pracą fizyczną, szukając wytchnienia w alkoholu, a kobiety cierpiały po cichu, próbując własnym poświęceniem zapewnić minimum warunków swoim rodzinom – zupełnie nie widział zastosowania dla tych umiejętności. Rwał się do dorosłego życia, marzył o chwili, kiedy będzie mógł przynieść do domu pierwsze zarobione pieniądze, ulżyć matce i sprawić, by ojciec poczuł się z niego dumny. W wieku lat dwunastu zatrudnił się w firmie Edward i Jan Burke, zajmującej się handlem alkoholem.

Wybór miejsca pracy okazał się fatalny. Podczas przeładunku skrzynek z alkoholem kilka z nich zwykle ulegało uszkodzeniu, a ich zawartość stawała się łupem pracowników. Darmowy trunek był nie do pogardzenia, wspólne picie rodziło złudne, lecz przyjemne poczucie solidarności. Mateusz chciał zostać dopuszczony do grona dorosłych mężczyzn; dzieląc ich pracę, chciał również dzielić z nimi ich rozrywki. Wkrótce podchmieleni mężczyźni zaczęli podsuszać i jemu butelki piwa. Nie minął rok,

gdy Mateusz po raz pierwszy wrócił do domu pijany.

■ PIJANA MŁODOŚĆ

Na widok pijanego syna Karol Talbot wpadł w furję. Mógł tolerować pijaństwo u siebie, ale nie u trzynastoletniego dziecka. Sprzął syna na kwaśne jabłko, zabrał go z firmy Burke i załatwił mu pracę gońca w zarządzie portu w nadziei, że będzie go miał na oku. Niestety nie zdołało to już powstrzymać Mateusza przed piciem. Przenosiny okazały się przejściem z deszczu pod rynną. W nowym miejscu pracy również łatwo było o darmowy alkohol, z tym że było to już nie piwo i wino, lecz whisky. Syn, pracując w tym samym miejscu, co ojciec, przysparzał mu tylko kolejnych kompromitacji, co prowadziło do konfliktów rodzinnych.

W wieku lat siedemnastu Mateusz postanowił uwolnić się spod wpływu ojca i zatrudnił się jako murarz w firmie Pemberton. Wprawdzie nie miał tam dostępu do alkoholu, zarabiał jednak dostatecznie dużo, by go sobie kupić. Po pracy udawał się z kolegami do pubu, gdzie przesiadywali aż do jego zamknięcia. Gdy o pierwszej czy drugiej nad ranem wracał do domu, rodzice już spali, co pozwalało mu uniknąć przykrych scen. Z rodziną miał kontakt głównie w niedzielę, kiedy razem udawali się na poranną Mszę świętą. Chociaż nie przystępował do sakramentów, nie był w stanie zerwać tej ostatniej nici łączącej go z Bogiem, może nawet sam nie wiedząc dlaczego.

W życiu Mateusza ustalił się z czasem pewien rytm. Pozwalał sobie jedynie na



Pomnik Mateusza Talbota, apostoła trzeźwości, został odsłonięty w Polsce w 2009 roku, przy parafii św. Aleksego w Płocku-Trzebiatowie, z inicjatywy Diecezjalnego Duszpasterstwa Trzeźwości.

cztery godziny snu, codziennie stawiając się w pracy punktualnie o szóstej rano i pracując rzetelnie, nierzadko w nadgodzinach, byle tylko zarobić na alkohol. Po otrzymaniu sobotniej wypłaty skromną sumkę wręczał matce, natomiast lwią część zanosił do pubu, oddając ją barmanowi na poczet całotygodniowego picia. Przez pierwsze dni tygodnia bawił się doskonale w gronie kolegów. Gdy otrzymywał od barmana sygnał, że jego pieniądze już się wyczerpały, dorabiał, pilnując koni zamożniejszym klientom pubu oraz pomagając pracze w koszarach w wyżymaniu i maglowaniu bielizny. Gdy i tego było za mało, pożyczzał lub zastawiał, co tylko mógł – nawet własne buty. Wyskokiem, którego później żałował najbardziej, była kradzież

skrzypiec niewidomemu, który grą po pubach zarabiał na życie. Skrzypek z chęcią raczył się stawianymi mu drinkami, nie mając pojęcia, że Mateusz płaci za nie pieniędzmi otrzymanymi przed chwilą w lombardzie za jego własny instrument.

Poza kumplami od picia Mateusz nie miał żadnych innych znajomych ani zainteresowań. Pub był dla niego całym życiem. Tam nikt nie miał do niego pretensji o pijaństwo, nikt niczego nie wymagał, przeciwnie, wszyscy lubili jego towarzystwo, gdyż miał poczucie humoru, a także chętnie stawiał drinki tym, którzy byli akurat bez pracy. Jedynym problemem było zdobycie pieniędzy, jednak silny, zdrowy i zaradny mężczyzna potrafił sobie z tym poradzić.

O Dzielwico,
proszę tylko
o trzy rzeczy:
o łaskę Boga,
o Jego obecność
i o Jego
błogostawieństwo.

MATEUSZ TALBOT

■ DOTKNIĘCIE DNA

Kiedy Mateusz miał dwadzieścia osiem lat, stało się to, co się stać musiało. Po raz pierwszy pijaństwo okazało się silniejsze od poczucia obowiązku – przez cały tydzień nie pojawił się w firmie. Kiedy w sobotę syreny obwieściły koniec pracy, bez grosza w kieszeni ustawił się w strategicznym miejscu pomiędzy firmą a pubem, oczekując na przechodzących świeżo po wypłacie kolegów. Był pewien, że któryś z nich zaprosi go na drinka, on sam czynił to przecież wiele razy, gdy znajdowali się w podobnej sytuacji.

Jednak spośród mijających Mateusza mężczyzn nie zatrzymał się żaden. Jedni udawali, że go nie widzą, inni rzucali w jego kierunku zdawkowe pozdrowienie, jeszcze inni przekleństwo. Mateusz uświadomił sobie, że bez grosza przy duszy nie jest już dla nich atrakcyjnym kompanem. Poczul się dotknięty do żywego. Jego świat rozpadł się w gruzy. Ci, na których – jak mu się dotąd wydawało – zawsze mógł liczyć, potraktowali go jak śmiecia.

W drodze do domu dojrzała w nim decyzja – jego noga nie postanie już w pubie, pod którym doznał takiego upokorzenia. „Złożę przyrzeczenie trzeźwości” – oświadczył zaskoczony jego wczesnym powrotem matce. Elżbieta Talbot, nie wierząc własnym uszom, ostrzegła syna, aby nie przyrzekał pochopnie czegoś, czego nie będzie w stanie dotrzymać. Widząc jednak jego determinację, westchnęła, by Bóg dodał mu siły do dotrzymania obietnicy.

■ DROGA NAWRÓCENIA

Kościół irlandzki próbował walczyć z plagą alkoholizmu, zaprowadzając zwyczaj składania przyrzeczeń abstynencji. Kapłan, do którego zgłosił się Mateusz, nie był więc zaskoczony prośbą penitenta. Wypowiadał go i przyjął od niego przyrzeczenie abstynencji na trzy miesiące. Dla Mateusza, który nie pamiętał, kiedy ostatni raz przeżył w trzeźwości jeden dzień, było to jak wieczność.

Te pierwsze trzy miesiące były dla Mateusza piekłem. W 1884 roku świadomość tego, czym jest alkoholizm, była zupełnie inna niż dzisiaj nasza. Mateusz nie miał do dyspozycji szpitalnego odwyku, grupy wsparcia ani profesjonalnej terapii. W domu i w pracy otoczony był ludźmi, dla których picie było jedyną rozrywką. Nie znał innego życia niż to, które prowadził do tej pory. Zaczął więc szukać pomocy w jedynym miejscu, w którym czuł się bezpieczny przed pokusami – w kościele. Tam samotnie zmagając się z objawami głodu alkoholowego, tam znajdował poczucie bezpie-

czeństwa, wiedząc, że jest to miejsce, gdzie na pewno nie sięgnie po kieliszek.

Już pierwszej niedzieli, którą w całości spędził w kościele, opracował sobie pod okiem Boga prostą strategię walki z nałogiem – walczyć o każdy kolejny dzień. Codziennie rano uczestniczył we Mszy świętej, prosząc Boga o wytrwanie w trzeźwości do wieczora. Czas, który dotąd marnotrawił w pubie, postanowił spędzać w kościele przed Najświętszym Sakramentem.

Mateusz znalazł się w pubie jeszcze tylko dwa razy, za każdym z nich doświadczając szczególnej pomocy Bożej. Pierwszy raz pociągnęli go ze sobą dawni kompani, którym brakowało jego towarzystwa. Stając przed kontuarem, Mateusz poczuł nagły przypływ determinacji – zamówił wodę mineralną, zapłacił, wychylił ją duszkiem i wyszedł, nie zwracając na nikogo uwagi. Innym razem wszedł do mijanego pubu, ale barman, zatopiony w rozmowie ze znajomymi, przez dłuższą chwilę nie zwracał na niego uwagi. Ten moment wystarczył, by Mateusz opamiętał się i wyszedł. Czuł jednak, że nie może liczyć na nadprzyrodzoną interwencję za każdym razem. Dlatego postanowił wracać do domu okrężną drogą, aby nie przechodzić koło pubu, zrezygnował też z noszenia przy sobie pieniędzy.

W tym pierwszym etapie trzeźwienia Mateusz postanowił wynagrodzić straty wszystkim, od których wyciągnął pieniądze na alkohol. Spłacił wszystkie długi, spędził też wiele godzin na poszukiwaniach niewidomego skrzyпка, a nie znajdując go, doszedł do wniosku,

że pewnie już nie żyje, i za przeznaczone dla niego pieniądze zamówił Msze święte za jego duszę.

■ ŚWIĘTY ALKOHOLIK

Po pierwszych trzech miesiącach abstynencji Mateusz złożył przyrzeczenie na kolejne trzy, a następnie na całe życie. Wiedział, że życie nie znosi pustki, toteż czas i energię, jaką składał w darze nałogowi, postanowił odłączyć poświęcić Bogu.

Wyprowadził się z domu, wynajmując sobie skromny pokój na mieście, porzucił też dawne zajęcie, zatrudniając się w składzie drewna. Ponieważ rozpoczynano tam pracę o ósmej, mógł bez przeszkód uczestniczyć w porannej Mszy świętej o godzinie szóstej piętnaście. Również po pracy nawiedzał kościół, a wieczorem jego pokój stawał się celą zakonnika. Mateusz modlił się, przypominał też sobie po latach sztukę czytania i pisania. Czytał poważne lektury i swym ledwie dającym się odczytać pismem, ignorując całkowicie interpunkcję, robił notatki duchowe. Pościł, odżywiając się głównie chlebem oraz – dla umartwienia – mieszanką herbaty i kakao, a wieczorem zjadał skromny posiłek przyniesiony mu przez siostrę. Wszystkie nadwyżki pieniędzy oddawał na cele dobroczynne.

Z czasem Mateusz zaczął szukać w wierze już nie tylko ratunku przed pokusami, ale samego Boga. To Jemu służył, kłękając codziennie rano przed kościołem w oczekiwaniu na jego otwarcie. Jego szukał w cotygodniowej spowiedzi i codziennej Komunii świętej, dla Nie-

Modlitwa o beatyfikację

Panie, Ty w swoim słudze Mateuszu Talbocie dałeś nam wspinały przykład zwycięstwa nad nałogiem, gorliwego wypełniania obowiązków i głębokiej czci Najświętszego Sakramentu. Niech jego życie, wypełnione modlitwą i pokutą, doda nam odwagi, byśmy podejmowali nasze krzyże i naśladowali naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

Ojcze, jeśli jest Twoją wolą, by umiłowany Twój sługa został wywyższony przez Kościół święty, daj nam poznać moc jego wstawiennictwa przez łaski, których nam udzielasz za jego przyczyną. Prosimy o to przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

go podejmował rozliczne umartwienia, jak choćby noszenie na ciele sławetnych łańcuchów. W prostocie serca rozmawiał z Bogiem i Maryją, tak jak się rozmawia z przyjaciółmi.

Był mistrzem w ukrywaniu swojej pobożności przed wszystkimi. Do końca życia pracował w składzie drewna, najpierw jako robotnik, a w ostatnich latach życia jako magazynier, ciesząc się opinią doskonałego pracownika. Pogodny i życzliwy, śmiał się – jak mówiono – ze wszystkiego oprócz nieprzyzwoitych dowcipów. Szanowano go, nikt jednak nie domyślał się, że prowadzi on życie na modłę słynących z radykalizmu średniowiecznych irlandzkich mnichów.

Jedynie kilka osób miało wgląd w głębię jego życia wewnętrznego. Matka, która przeprowadziła się do niego po śmierci męża, kilkakrotnie widziała go w ekstazie. Jego siostry, Maria i Zuzanna, które sprzątały jego pokój i przynosiły mu obiady, były świadkami jego ascetycznego trybu życia. Wiele miały

do powiedzenia jego kierownik duchowy, prałat Michał Hickey, który niestety zmarł na długo przed Mateuszem, a także inni kapłani, których prosił o wyjaśnienie niektórych fragmentów z dzieł mistrzów życia duchowego. On sam zachował do końca prostotę i pokorę. Kiedy z powodu problemów z sercem skierowano go do szpitala, zdjął łańcuchy i choć nie ukrywał swojej religijności, zachowywał się w sposób absolutnie naturalny, poddając się zaleceniom lekarzy. Na tych, którzy mieli z nim kontakt, sprawiał wrażenie szczęśliwego, spełnionego człowieka.

Podleczone w szpitalu choroba serca budziła niepokój Marii, która namawiała brata, by nosił przy sobie kartkę z nazwiskiem i adresem. Gdyby upadł na ulicy, można by przynajmniej stwierdzić jego tożsamość. Mateusz uśmiechał się tylko, zapewniając siostrę, że Bóg, który przecież będzie przy nim w godzinie jego śmierci, doskonale wie, kim on jest.

Bóg wiedział. I co więcej, zadbał o to, aby dowiedzieli się o tym inni. ■